NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 6 listopada 1921. Nr. 45.

Bandytyzm na liniach kolejowych



Gromada uzbrojonych opryszków plądruje będący w pełnym biegu pociąg osobowy.

Bandytyzm na liniach kolejowych.

(Do illustracyi tytułowej).

I przed wojną miało się nieraz do czynienia z obrabowaniem pociągów towarowych, zwłaszcza w miejscach, gdzie skutkiem nierówności terenu musiały one zwalniać swój bieg. Korzystali z tego złoczyńcy, dostawali się do wnętrza wozów i wyrzucali stamtąd na tor napotkane przesyłki, które następnie inni członkowie bandy zbierali i unosili w bezpieczne miejsce, gdzie następował podział łupów. Niejednokrotnie uchodziło to uwadze personalu kolejowego, stosunkowo dość nielicznego, a o kradzieżach dowiadywano się po przyjściu wozu na miejsce przeznaczenia. Wzmocniona czujność żandarmeryi wzdłuż toru kolejowego nie odstraszała bandytów, potrafili zawsze znaleźć sposobność do przeprowadzenia swojego planu.

Wypadki te wydarzały się jednak sporadycznie, gdy natomiast obecnie przybierają cechę epidemii. Niema poprostu tygodnia, by nie doszła nas wiadomość o jakimś zuchwałym napadzie na pociąg i to nawet w tych okolicach naszego kraju, w których dotychczas należały one do rzadkości. Bandytyzm kolejowy rozszerza się u nas z zatrważającą szybkością, a skarb państwowy ponosi skutkiem tego milionowe szkody. Dokłada się wprawdzie starań, by wytępić tę plagę, ale widocznie siły, jakich się używa, są za słabe, a bezkarność rozzuchwala jeszcze bardziej bandytów.

W ubiegłym tygodniu wydarzyły się dwa wypadki śmiałych napadów na pociągi kolejowe. Jeden z nich miał miejsce na przestrzeni między Nowym Sączem a Męciną, gdzie gromada opryszków, uzbrojonych w karabiny, napadła na będący w ruchu pociąg towarowy, a po dostaniu się do wnętrza wozu, zaczęła wyrzucać znajdujące się w nim towary, przeważnie mąkę, skórę i tytoń. Pociąg zatrzymano, rozpoczęła się walka między służbą kolejową a napastnikami, którzy zostali ujęci. Towary, wyrzucone przez nich, przedstawiały wartość dwu milionów marek.

Jeszcze śmielszym był napad bandycki na pociąg osobowy, zdążający do Żyrardowa. Dokonano go porą nocną, zatrzymawszy pociąg na przestrzeni fałszywymi sygnałami. Sterroryzowawszy obsługę pociągu groźbą użycia broni, włamali się bandyci do wozu pakunkowego i rozpoczęli wyrzucać bagaże podróżnych. Ze stacyi Żyrardów, gdzie zauważono zatrzymanie pociągu, nadbiegła pomoc, sądząc, że zaszedł jakiś wypadek, wobec czego złoczyńcy zbiegli, pozostawiając łup na miejscu. Zarządzono za nimi natychmiast obławę i część ich ujęto tej samej jeszcze nocy.



Naczelnik Państwa na Jasnej Górze: Publiczność oczekująca przybycia Naczelnika Państwa na dworcu kolejowym częstochowskim.

Naczelnik Państwa na Jasnej Górze.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odwiedził Częstochowę w przejeździe z Radomska do Kielc Naczelnik Państwa. Pobyt jego w murach miasta trwał kilka godzin, przeznaczonych na zwiedzenie jasnogórskiego klasztoru.

Aczkolwiek wieść o przyjeździe Naczelnika Państwa rozeszła się dopiero w przeddzień przyjazdu miasto powitało godnie osobę pierwszego obywatela Rzeczypospolitej.

Już od wczesnego poranka zapanowało w dniu 20 października niezwykłe ożywienie w mieście. Domy udekorowane zostały flagami o barwach narodowych, w Alejach ustawiły się szeregi młodzieży szkolnej męskiej i żeńskiej szkół średnich i powszechnych. Ogromny ruch panował na dworcu, przybranym w zieleń i chorągiewki, gdzie zgromadzili się przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych, delegaci związków i stowarzyszeń, członkinie Koła Polek z bukietami i wiązankami kwiatów.

Od godz. 9 tej na stacyę przybył specyalny pociąg Naczelnika Państwa. Celem powitania dostojnego gościa do wagonu weszli jen. Pogorzelski p. starosta Kühn i prezydent miasta dr. Marczewski. Za chwilę wyszedł Naczelnik Państwa i przy gromkich okrzykach „Niech żyje“ przeszedł salutując do poczekalni I klasy, gdzie zgromadzone członkinie Koła Polek wręczyły mu kwiaty, wznosząc okrzyki „Niech żyje“.



Naczelnik Państwa na Jasnej górze: Naczelnik Państwa opuszcza zabudowania klasztorne Obok stoją: 1) Ks. biskup Krynicki, 2) zastępca przeora, O. Maryan. 3) ks. kanonik Ciesielski, 4) Jen. Pogorzelski, 5) starosta Kühn 6) redaktor Wilkoszewski, 7) redaktor Barylski.

Przed dworcem Naczelnik Państwa wsiadł do samochodu i witany okrzykami licznie zgromadzonej publiczności i młodzieży szkolnej udał się na Jasną Górę. W drodze Naczelnik Państwa, zatrzymał się na chwilę, aby przyjąć kwiaty i wieńce od uczniów i uczenic.

Na Jasnej Górze powitał dostojnego gościa w zastępstwie nieobecnego przeora biskup Krynicki. W kaplicy Matki Boskiej przed odsłoniętym obrazem Mszę św. odprawił kapelan Naczelnego Wodza ks. prałat Tokarzewski. Po wysłuchaniu Mszy św., Naczelnik Państwa w otoczeniu swej świty, duchowieństwa i przedstawicieli władz wojskowych i cywilnych udał się na zwiedzenie Jasnej Góry. Informacyi udzielali O. Marjan i ks. kan. Ciesielski. Po okrążeniu wałów Naczelnik Państwa zwiedził bibliotekę, gdzie oglądał przyniesione ze skarbca ornaty, monstrancye i trofea z pod Wiednia. W księdze pamiątkowej oglądał podpisy rosyjskich książąt, Hindenburga, Wilhelma, a następnie w drugiej księdze wolności na odwróconej karcie położył swój podpis: J. Piłsudski Częstochowa dn. 20/X 1921 r.

Po zwiedzeniu biblioteki Naczelnik Państwa udał



Naczelnik Państwa na Jasnej Górze: Odjazd z dworca kolejowego częstochowskim

się do refektarza klasztornego, gdzie był gościnnie podejmowany śniadaniem przez OO. Paulinów. Podczas śniadania, pierwszą przemowę wygłosił ks. biskup Krynicki, który zaznaczył, że wszyscy królo-



O dom polskich literatów i artystów w Rzymie: Wejście do hospicyum polskiego w Rzymie.

wie polscy składali hołd Najświętszej Maryi Pannie na Jasnej Górze to też błogosławieństwo Boże szło za nimi. Jeden tylko z królów Stanisław August Poniatowski nie miał czasu wstąpić na Jasną Górę, a wtedy i łaska Boża odwróciła się od niego. Cieszymy się bardzo, że Naczelnik Państwa odrodzonej Polski wstąpił na Jasną Górę. Niechże ta Matka Boska udzieli Ci błogosławieństwa, a kraj pod rządami Twoimi niech zazna szczęśliwości i pokoju.

Następnie przemawiał O. Maryan, ponim zaś zabrał głos ks. kan. Ciesielski, który jako prefekt wyraził od młodzieży szkolnej uczucia gorącego uwielbienia dla osoby Naczelnika Państwa.

Po spożyciu śniadania Naczelnik Państwa podziękował OO. Paulinom za serdeczne przyjęcie, poczem przy wejściu do samochodu, na podwórcu klasztornem, zatrzymał się na chwilę dla dokonania zdjęcia fotograficznego, uskutecznionego przez p. Reimschüssela.

Witany serdecznie i gorąco przez tłumnie zebraną publiczność powrócił Naczelnik na dworzec kolejowy, skąd o godzinie 12 i pół pociąg ruszył w dalszą drogę.

Podpisanie traktatu między Polską a Gdańskiem.

Dzień 24 października 1921 r. stał się w dziejach młodej Polski ważną datą. W dniu tym podpisano w Warszawie umowę między rządem Rzeczypospolitej a Senatem gdańskim, normującą ich wzajemny stosunek. Sprawa ta mająca dla obydwu stron bardzo doniosłe znaczenie, doczekała się nareszcie ostatecznego rozwiązania, zgodne współżycie i współdziałanie sąsiadów nie powinno odtąd napotykać na żadne trudności, o ile, oczywiście, słowa, wygłoszone przez zastępców Gdańska, pochodziły ze serca a nie były czczymi frazesami.

Celem dopełnienia uroczystego aktu podpisania umowy przybyło do Warszawy dziewięciu senatorów gdańskich z prezydentem drem Sahmem na czele.

Ceremonia ta, w której imieniem Polski występował pełnomocnik warszawskiego rządu, Plucińki, Gdańsk zaś reprezentował senator Jevelowsky, odbyła się w sali ceremonialnej Prezydyum Rady Ministrów.

Podpisania dokonano w obecności zastępcy prezydenta min. dra Stesłowicza, członków gabinetu, oraz delegacyi senatu gdańskiego.

Sala ceremonialna Prezydyum Rady Ministrów szlachetnemi liniami swej architektury tworzyła nader dostojne tło dla wielkiego aktu dziejowego, który napowrót sprzęga losy Gdańska z Rzeczpospolitą Polską. Przebieg uroczystości wywarł na uczestnikach wrażenie podniosłe.

Po godz. 6 weszli na salę ministrowie Stesłowicz, Skirmunt i delegat rządu w Gdańsku, Pluciński. Za nimi weszli delegaci gdańscy, a to: prezes Senatu dr. Sahm, oraz senatorowie Jevelowsky, Volkmann, dr. Franck i dr. Esche, tudzież wszyscy członkowie gabinetu. Na środku sali zasłanej ogromnym perskim dywanem, zasiadło dokoła stołu, na którym spoczywały dwa egzemplarze traktatu, po jednej stronie pięciu senatorów gdańskich, po drugiej panowie Stesłowicz, Skirmunt i Pluciński. Po stronie przedstawicieli Polski, na skraju kobierca zajęli miejsca we fotelach członkowie gabinetu, za nimi zaś ustawili się wszyscy funkcyonaryusze rządu i liczni posłowie sejmowi. Na galeryach zajęli miejsca członkowie ciała dyplomatycznego i przedstawiciele prasy.

Na powitalne przemówienie p. Plucińskiego odpowiedział p. Jevelowsky, poczem po odczytaniu

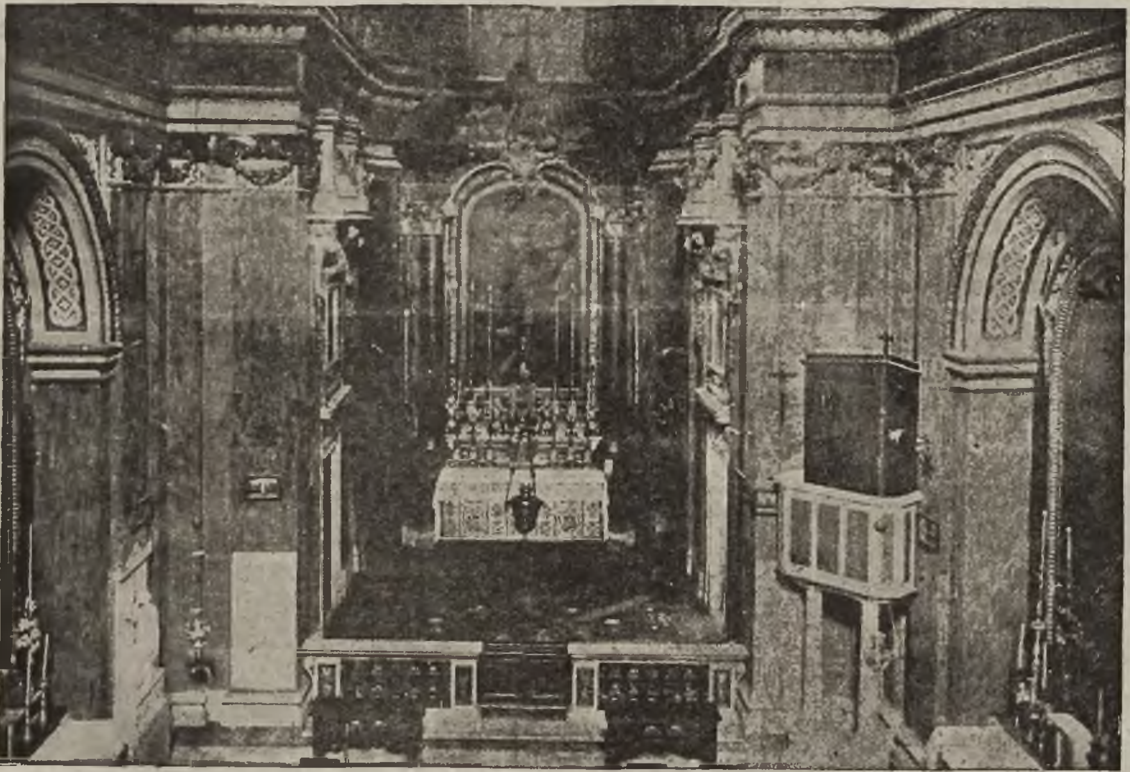


Uczczenie pamięci francuskiego narodowego poety: Pomnik Fryderyka III. w Metzu postawiony w r. 1909.

obustronnych pełnomocnictw przystąpili pp. Pluciński i Jevelowsky do podpisania traktatu i protokółu posiedzenia. Obaj pełnomocnicy uzupełnili swe podpisy pieczęciami osobistemi. O godz. 7 dr. Stesłowicz zamknął posiedzenie, poczem odbyło się swobodne cercle, w czasie którego senatorowie gdańscy zapoznali się z obecnymi na sali dostojnikami i przedstawicielami prasy.

Senator Jevelowsky odbył konferencyę z przedstawicielami warszawskiej prasy zwracając się do niej z apelem, aby dołożyli starań celem zacieśnienia węzłów przyjaźni między Polską a Gdańskiem.

Na bankiecie, wydanym na cześć gości gdańskich przez min. Stesłowicza, wygłosił tenże przemówienie, w którem zaznaczył, że odwiedziny prezydenta wolnego miasta Gdańska w Warszawie są stwierdzeniem, że rząd tamtojszy pragnie z Polską utrzymać przyjacielskie stosunki. Odpowiedział dr. Sahm toastem na pomyślność Polski, Naczelnika Państwa i Prezydenta ministrów, zapewniając o serdecznych uczuciach, jakie Gdańsk i jego ludność żywi dla Polski, rozumiejąc dobrze, jaką wartość dla obu ma utrwalenie dobrych sąsiedzkich stosunków.



O dom polskich literatów i artystów w Rzymie: Wnętrze kościoła św. Stanisława Szczepanowskiego w Rzymie.



Zjazd kupiectwa polskiego we Lwowie: Grupa uczestników Zjazdu.



Podpisanie traktatu między Polską a Gdańskiem. Imieniem Polski podpisuje umowę delegat Pluciński, naprzeciw stoi senator gdański, Jewelowsky.
Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Nie tak entuzyastycznie, lecz zato bardziej realnie o wzajemnym stosunku Gdańska i Polski wyraził się marszałek Trąmpczyński, przyjmując senatorów gdańskich. Oświadczył on miedzy innemi: „Traktat gdańsko-polski daje Gdańskowi wszystkie korzyści, a Polsce wszystkie ciężary utrzymania Wolnego Miasta". Marszałek rozumie dążenia Gdańska do emancypacyi politycznej ale niech Gdańsk wie, że my będziemy się starali o wyemancypowanie się od Gdańska pod względem gospodarczym. Traktat jest w każdym razie próbą współżycia, jego wykonanie zależy jednak w dużej mierze od usposobienia, jakie Gdańsk żywi względem Polski.

O dom polskich literatów i artystów w Rzymie.

Prezes krakowskiego Związku literatów Jan Pietrzycki, który w ubiegłym miesiącu powrócił z Rzymu, wygłosił na umyślnie w tym celu zwołanych zebraniach organizacyi literackich i artystycznych w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Lwowie referat na temat reorganizacyi istniejącego od XVI. wieku, a martwego dziś hospicyum polskiego w Rzymie na dom dla literatów, uczonych i artystów polskich, przybywających do Rzymu na studya (na wzór francuskiej „willi Medici"). W myśl referatu p. Pietrzyckiego powzięto uchwałę jak najenergiczniejszej akcyi w tej sprawie przed forum Sejmu.

Olbrzymi gmach hospicyum polskiego w Rzymie u wylotu ulic Bottoghe oscuro i dei Polacchi (niedaleko Kapitolu), pozostający już obecnie pod zarządem władz polskich, jest zamieszkały za minimalnymi czynszami przez prywatnych lokatorów Włochów. Obok domu znajduje się stylowy kościół pod wezwaniem św. Stanisława Szczepanowskiego, założony przez kardynała Hozyusza, pełen polskich pamiątek i grobowców. Zdobią go malowidła Carla Maraty, Odassiego, Czechowicza i Smuglewicza.

Nie potrzebujemy dodawać, że projekt p. Pietrzyckiego stworzenia w Rzymie „polskiej willi Medici" posiada dla naszych literatów, uczonych i artystów pierwszorzędne znaczenie.



Uczczenie pamięci francuskiego narodowego poety: Pomnik Fryderyka III. w Metzu nazajutrz po zawarciu zawieszenia broni między Niemcami a Koalicyą.

Zjazd kupiectwa polskiego we Lwowie.

Z okazyi „Targów Wschodnich" odbył się we Lwowie w dniach 29. i 30. września b. r. ogólny Zjazd kupiectwa polskiego, drugi po poznańskim.

Na zjazd przybyło około 1000 uczestników z najdalszych kresów Polski, a w przeważającej części przedstawiciele najpoważniejszych firm handlowych. Zjad rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w ka-



ięci francuskiego narodowego poety: Przemówienie ministra wojny Barthou podczas odsłonięcia pomnika P. Déroulède w Metzu.

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

10)

— List dla panny Łączkówny! — zawołał woźny teatralny, podając Stefce wąską białą kopertę, na której poznała charakterystyczne, energiczne pismo Chaniewskiego. Rozerwawszy kopertę, przeczytała: „Po teatrze proszę przyjść do magazynu „Madame Anna". Tylko punktualnie. Czekam". Podpisu nie było żadnego, a słowa te skreślono nie na bilecie wizytowym, ale na zwykłej kartce papieru, wyrwanej snać z notatnika.

— Jaki ostrożny! wstydzi się!... nudziarz stary!...

Zawahała się, jaką dać odpowiedź. Nie miała wcale ochoty wyrzekać się wesołej zabawy i ponętnych nowych znajomości dla nudnego sam na sam z protektorem, którego zaczynała już lekceważyć. Jednak narazić mu się otwarcie nie śmiała, nie była jeszcze dość pewna swego stanowiska w teatrze, no i pieniężna pomoc Chaniewskiego, choć daleka od tego, o czem marzyła, nie była na razie do pogardzenia. Trzeba się jakoś wywinąć zręcznie...

— Czy będzie odpowiedź, proszę pani?

— Tak, w tej chwili.

Szybko napisała: „Matka jest w teatrze. Pilnuje mnie. *Apsolutnie* dzisiaj nie mogę. Będę jutro". I ona się nie podpisała.

Była bardzo ze siebie zadowolona, bo Chaniewski chociaż nie uwierzy kłamstwu, nie zdoła jej niczem udowodnić, że skłamała. Nie będzie przecież tkwił przed teatrem i kontrolował, w czyjem towarzystwie ona wraca. Na to on jest zbyt wygodny.

Należało także odpowiedzieć i na zaproszenie Bąbla. Stefka obejrzała się na koleżanki. Strzeliła jej pewna myśl do głowy.

— Proszę pani — zwróciła się do Zośki — czyby pani nie poszła ze mną po teatrze na kolacyę. Będzie także kilku moich dobrze znajomych. Bardzo eleganccy i bogaci ludzie. — Tamtej zaświeciły nieduże szare oczka. Uśmiechnęła się jej perspektywa zjedzenia dobrej kolacyi. A może pozna tam kogoś, kto się nią zaopiekuje... Jednak ta bezczelna Łączkówna może się na coś przydać!...

— Ależ chętnie!

— No to mówmy sobie ty! — zaproponowała wspaniałomyślnie Stefka, czując, że od tej chwili zyskuje sojuszniczkę.

Ucałowały się ku niezmiernemu oburzeniu czarnej Walki i drugiej chórzystki, zwanej mamą Borzykowską, ponieważ była obarczona czworgiem dzieci i blisko pięcioma dziesiątkami lat.

— Podła ta Zośka! Bez ambicyi!... Za kolacyę głupią ją kupiła!...

— No, niechby tak mnie zaproponowała, dałabym ja jej.

Stefa gratulowała sobie pomysłu. Za jednym zamachem pozbyła się wroga, zyskając jednocześnie jeżeli nie wierną przyjaciółkę, to w każdym razie wygodną towarzyszkę, którą się będzie można w rozmaitych wypadkach posłużyć. A konkurencyi nie zrobi jej przecież ta brzydka, zwiędła, źle ubrana dziewczyna.

* * *

W nadmiernie ogrzanej, dusznej seperatce restauracyjnej na sześć osób, oprócz Stefy Łączkównej i Zośki, którą Stefa przedstawiła jako swoją serdeczną przyjaciółkę i Bąbla, zasiadło do stołu jeszcze trzech mężczyzn: reporter Olczak, młody malarz futurystyczny z arogancką miną i monoklem w oku i szpakowaty jegomość w niesłychanie brudnym kołnierzyku, autor szeregu nigdzie nie wystawianych sztuk.

Stefa rzuciła szybkie spojrzenie w stronę futurystycznego malarza, który, nie przypominając w niczem własnych artystycznych kreacyi, był bardzo przystojnym i dobrze zbudowanym chłopcem, a ze specyalną uprzejmością, prawie uniżoną, podała rękę Olczakowi.

— Jakże się cieszę z poznania pana redaktora!... Pan redaktor napisze coś pewnie o dzisiejszem przedstawieniu?

— A jakże!... a jakże!... Nie zapomnimy też o nowem uroczem zjawisku!... — zapewniał Olczak, wykonując z rozmachem ukłon i mrugając jednocześnie trochę drwiąco oczyma.

Stefka rozpromieniła się, ale Zośka, obeznana trochę lepiej ze stosunkami, szepnęła jej do ucha:

— Nic mu nie wierz!... Blaguje!... To nie jest prawdziwy redaktor od teatru, ale taki od kroniki policyjnej... Jakby cię okradli, albo jakbyś pod tramwaj wpadła, to o tobie napisze...

— Nie szkodzi, ale zawsze napisać może — odrzekła Stefka, która gazet nigdy nie czytała, ale odczuwała dla nich wielki szacunek.

W stosunku do Bąbla zachowywała się poważnie, prawie sztywnie. Instynktem wyrafinowanej samiczki odgadła, że metoda oporu, pełnego godności, będzie najstosowniejszą w tym wypadku. Postanowiła zagrać damę. Niechaj ten grubas wie, że nie z byle kim ma do czynienia! Ukostyumowała się też odpowiednio do tej roli. Bąbel, który miał żywo w pamięci purpurową bachantkę, ujrzał nagle przed sobą kobietę w wytwornej czarnej sukni, lekko tylko wyciętej, przybranej dystyngowanemi dżetami, uczesaną skromnie i zachowującą się grzecznie, ale z wielką rezerwą. Jedynie szelmowskie zielone oczy, błyszczące silnie i przejrzyste tiulowe rękawy, przez które przeświecał różowy, ciepły marmur ciała, stanowiły wyłom w tej twierdzy powagi i przyzwoitości.

— Jestem niesłychanie szczęśliwy, że pani zgodziła się spędzić z nami ten wieczór... niewymownie szczęśliwy. — Bąbel wpił się gorącemi wargami w rękę Stefki, którą mu zaraz odebrała.

— Uprzedzam pana wszakże — wycedziła, sznurując usta — że to najwyżej na godzinkę. Muszę wracać do domu. Mama na mnie czeka, a ona nie lubi, kiedy się spóźniam.

— Pani dobrodziejka co pozwoli na przekąskę? majonez z homara, czy łososia, a może paszteciki.

— Może być majonez — rzuciła niedbale.

— A przedtem wódeczka mocna czy likier? mają tutaj wcale niezłą starkę, ale jeśli pani woli słodką...

— Dziękuję, nie używam wcale alkoholu.

— Może przecież jeden kieliszeczek?

— Ani kropelki!

— W takim razie wypijemy za panią — wtrącił pospiesznie Olczak — każno dyrektor podawać, bo czasu szkoda. A pani pije? — zwrócił się do Zośki.

— Ależ owszem... — zaczęła Zośka, ale Stefka pociągnęła ją nieznacznie za suknię — ja także nie piję.

Miejsce koło Stefki z jednej strony zajął Bąbel, z drugiej zaś jej sąsiadem był młody malarz, który wpatrując się w nią, coraz silniej przyciskał swój monokl. Zośkę usadowiono pomiędzy Olczakiem, a literatem w brudnym kołnierzyku.

Nastrój początkowo dzięki sztywnemu zachowaniu Stefki, grającej konsekwentnie swoją rolę, był nieco niewyraźny.

Pierwsze kolejki wódek i porcye przekąsek pochłonięto w milczeniu. Stefa uparcie wzbraniała się pić i jadła również niewiele, natomiast Zośka rzuciła się na smakowite przekąski i majonezy z żarłocznością zagłodzonej. Mężczyźni wszyscy, oprócz samego fundatora, dotrzymywali jej dzielnie kroku. Stosy kanapek, artystycznie ułożonych, wabiących swym wyglądem zarówno zmysł wzroku jak i smaku, znikały z zadziwiającą szybkością. Wódka jak gdyby wysychała.

— Państwo pozwolą kotlety a la milanaise, czy indyka nadziewanego? — zapytał kelner.

— Naprzód kotlety, potem indyk — zadecydował Olczak, który odrazu objął rolę gospodarza, dysponował, zupełnie nie pytając Bąbla o zdanie.

— A potem kompot? omlet z konfiturami? tort czekoladowy?

— Jedno, drugie i trzecie — rozporządzał się w dalszym ciągu Olczak — a do tego stary tokaj! tylko, rozumiesz pan, naprawdę stary i naprawdę tokaj, a następnie zamrozisz nam pan szampana!

— Słucham, proszę pana.

— Alkohol rozwiązywał języki i pobudzał temperamenty. Małe, chytre, szare oczka Olczaka błyszczały silnie i biegały szybko to w tę, to w ową stronę. Przy dziesiątym kieliszku zaczął Stefkę całować po rękach, oświadczając, że się zajmie jej karyerą artystyczną.

— My z pani żrobimy wielką artystkę, będzie pani pierwszorzędną gwiazdą na firmamencie naszego miasta. Prasa panią poprze, a prasa to potęga! Czy pani to rozumie?

— Rozumiem, panie redaktorze!...

— O mnie pan nie zapomni, mój złoty panie — przymilała się Zośka, która pod wpływem oparów alkoholu wyszła z pamięci, iż przed chwilą lekceważyła wpływ Olczaka. A może on naprawdę coś zrobi?...

— Nie zapomnę dziewico chananejska!

— Ależ proszę pana, ja nie jestem wcale żydówka!...

— Nie pojmujesz mnie, oblubienico z Mesyny, brak ci wyższej, że tak powiem, kultury literackiej!...

— Oho! Olczak już zaczyna bredzić trzy po trzy...

— I ty mi to śmiesz wspominać, przedstawicielu nonsensu, blagi i braku talentu w sztuce, która nie jest sztuką...

— Tak! stanowczo nie jest sztuką mięsa, jedyną sztuką, dostępną dla twej organizacyi duchowej, referencie kradzieży kieszonkowych!... pomocniku pomocnika zastępcy młodszego reportera!...

— Panie Sternnagel! prasa pana zniszczy!...

— Żeby to choć było co niszczyć!... Czyż można zniszczyć nicość?! — wtrącił Brzeżkiewicz, szpakowaty, zapoznany literat, przeciwnik zagorzały najnowszych „dreszczów" w sztuce.

— Panie Brzeżkiewicz, pańskich sztuk nikt nie wystawia, a moich obrazów nikt nie kupuje, ale między nami jest wielka, nieprzebyta przepaść, bo ja burzę stare, strupieszałe formy, a pan nawet się w tych starych obracać nie umiesz?

— Co! na co pan sobie pozwalasz?... Pan wiesz, kto to jest Apolinary Brzeżkiewicz?! Świętości nie szargać!... — ryknął Brzeżkiewicz i rżnął o stół kieliszkiem, który rozprysnął się w kawałki. Ciemnopurpurowa struga wódki popłynęła po śnieżno-białym obrusie i o mało co nie oblała seledynowej sukni Zośki. Przestraszona dziewczyna zaczęła piszczeć, cofając się w tył z krzesłem. Stefka zrobiła wielkie oczy:

— Waryaci, czy co?...

— Panowie! proszę o spokój! — zawołał Bąbel — nie sprzeczajcie się!... Indyk na stole!... Jesteśmy tu przecież w swojem kółku! Prasa!... literatura!... sztuka!... teatr!... Wypijemy na zgodę tokajem!...

— Brawo!... niech żyje Bąbel! — najzacniejszy z paskarzy!...

— Mecenas i opiekun czystej formy w sztuce!...

— Przyszły dyrektor zreformowanego teatru, w którym ja moje dramaty...

— Prasa go poprze — prasa to potęga!...

— Niechaj mnoży swe miliony...

— I co rychlej je z nami straci. Amen.

Krzyżowały się wykrzykniki i ręce sięgające po kieliszki. Stefa z coraz większem uszanowaniem spoglądała na Bąbla.

— On chyba naprawdę strasznie bogaty, kiedy mu tak kadzą! — zadecydowała. Z pod długich, lekko wywiniętych rzęs pobiegło ku „najzacniejszemu z paskarzy" spojrzenie powłóczyste. Bąbel pokraśniał i przysunął się z krzesłem bliżej swej sąsiadki, tak że ramię jego wsparło się na ramieniu dziewczyny, przeświecającem różowo z pod czarnego tiulu, gorącem od młodej, niesfornej krwi...

— Panno Stefanio! jakim ja szczęśliwy dzisiaj!... jaki bardzo szczęśliwy...

— I dlaczegóż to? — zapytała, udając doskonale naiwność.

— Bo mogę panią ugościć, patrzeć na panią, zachwycać się... jest pani tutaj tak blisko... blisko mnie... — szeptał coraz namiętniej...

— Nawet może trochę za blisko... — oświadczyła chłodno i odsunęła się nieco od niego.

W tej chwili uczuła, że rozpalona ręka drugiego sąsiada spoczęła pod stołem na jej kolanie.

Ciało Stefki przebiegł dreszcz. Sprężyły się jędrne, twarde mięśnie. Młodemu futuryście zmętniały źrenice i monokl wypadł z oka. Pochylił się nieznacznie ku niej i drugą ręką podsuwał jej kieliszek perlącego napoju.

— Proszę pić, proszę pić koniecznie — szeptał jej do ucha, oblewając twarz gorącym oddechem.

Wypiła. Ciepły, rozkoszny strumień rozpłynął się po żyłach Stefki. Splotły się jej palce z nerwowymi, gorącymi palcami malarza.

Tymczasem Bąbel przepraszał ją.

— Pani się gniewa za to, co powiedziałem? Może byłem trochę za śmiały, ale jestem zawsze szczery, taka już moja natura... proszę się nie gniewać — czy pani się jeszcze gniewa?

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Patrzał na nią poważnie.

— Czy będziesz mógł przewieźć mnie sam jeden przez rzekę do Lonlii?

— My lady, jestem silny jak Ramzes drugi.

— Dobrze. Wybierz małe, lekkie czółno. Jak długo Barondi zostanie?

— Nie wiem.

— Staraj się dowiedzieć. Czy Hanza jest z nim?

Na twarzy Ibrahima ukazał się zły wyraz.

— Hanza, on tam. Ale Hanza bardzo zły chłopiec. Nie mówię więcej do Hanzy.

— Nie zapomnij! Zaraz po obiedzie!

Zamknęła znowu drzwi na klucz.

Wzięła gorącą kąpiel, rozpuściła włosy, narzuciła szlafroczek i położyła się, starając się wypocząć. Lecz pomimo zmęczenia nie mogła spokojnie leżeć. Co chwilę wstawała, wychodziła na balkon i patrzała za Lonlią. Wzięła lunetę i starała się dojrzeć Barondiego na pokładzie. Lecz nie mogła go zobaczyć. Umieściła leżak na balkonie i właśnie miała na nim się położyć, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

— Ruby!

To był Nigel. Uczuła ochotę otworzyć drzwi, chwycić go za ramiona i wyrzucić go z domu, wyrzucić ze swego życia.

— Ruby!

— Idę! — zawołała.

Zaczekała chwilę chcąc się opanować. Każdy nerw w niej drżał.

— Drzwi zamknięte.

— Wiem. Idę, idę.

Zacisnęła zęby, podeszła do drzwi i otworzyła.

— Wejdź, wejdź, ty niecierpliwy człowieku!

— Niecierpliwy! Nie widziałam ciebie przeszło dwie doby. A nie mogę się obejść bez Ciebie, Ruby. Dzięki Bogu będziemy dzisiaj razem, sami. Po obiedzie chciałbym, żebyś mi grała.

— Jeżeli nie będę zanadto zmęczona.

— Położymy się wcześnie.

Zamknął drzwi.

— Siądę przy tobie. Chcę zasięgnąć twojej rady co do czeku Isaacsona.

Ciężko westchnął. Trzymał w ręku papier i ołówek. Siadł przy stoliku.

— Muszę się tego pozbyć. Po tem, co zaszło, muszę zapłacić Isaacsonowi, chociaż z drugiej strony myślę, że — westchnął znowu. — Kiedy przybył na łódź, żeby się zabrać do mojej kuracyi?

* * *

Dzień przechodził powoli. Czy przejdzie bez jakiegoś histerycznego wybuchu, Mrs. Armine nie wiedziała. Czuła, że ledwo panuje nad sobą. Tak długo grała swą rolę, że byłoby zbyt tragicznie przerwać ją marnie teraz, kiedy dramat miał się ku końcowi.

Tego wieczoru musi się skończyć. Siły jej były wyczerpane. Zamierzała powiedzieć to Barondi'emu. Musi ją zabrać teraz, lub pozwolić, żeby się z nim gdzieś połączyła. Lecz w każdym razie musi się wyrwać z tego życia z Niglem. Nie była w stanie grać dłużej roli kochającej żony. Potrzebowała największego wysiłku, żeby przebyć ten dzień bez obudzenia podejrzenia w Niglu. A dzisiaj dziwnie ją obserwował. Oczy jego prawie z niej nie schodziły, patrząc na nią w sposób, którego nie mogła zrozumieć. Nie opuszczał jej ani na chwilę i czasem miała wrażenie, jak gdyby i on był u końca... czego? Czy chciał jej coś powiedzieć?... coś wyznać? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że nie był w normalnym usposobieniu. Parę razy zastanawiała się, co właściwie zaszło między nim, a Issacsonem. W każdym razie nie prawda, która ją dotyczyła. A będąc tak bardzo zajęta swoim własnym losem, mało dbała o resztę.

Isaacson odszedł, i odszedł nie starając się jej zaszkodzić. To jej wystarczało.

Wreszcie wśród złotej glorji zbliżył się wieczór. Widząc zmieniające się niebo, gorączkowe podniecenie i niecierpliwość Mrs. Armine wzmogły się jeszcze. Teraz, kiedy jej spotkanie z Barondim było tak bliskie, czuła, że nie zniosłaby nowego opóźnienia. W jaki sposób zdoła uciec od męża, nie wiedziała, lecz nie dbała o to. Z Niglem będzie mogła zawsze uczynić co zechce. Kiedy chwila nadejdzie, będzie gotową. Była tego pewną.

Starannie ubarwiła twarz. Na policzkach miała delikatne rumieńce, ciemniejsze brwi niż zwykle, bardzo czerwone usta. Użyła wszelkich środków, żeby nadać swej twarzy wygląd młodości. Oczy jej błyszczały. Jasne swe włosy ułożyła w najodpowiedniejszy sposób. Ubrała się w głęboko wyciętą, wieczorową suknię, która uwydatniała śliczną zawsze figurę. I starała się myśleć, że nie wygląda starzej, jak wtedy, kiedy Barondi ją widział po raz ostatni. Lustro zaprzeczało temu, lecz nie chciała mu wierzyć.

W końcu była gotową i zeszła na ostatni „supplice" jak nazywała obiad sam na sam z Niglem.

Nie był jeszcze na dole i właśnie miała wyjść na taras, kiedy wszedł do salonu ubrany po wieczorowemu. Pierwszy raz od swej choroby ubrał się na obiad i widziała w tem znak, że wkrótce powróci do normalnego czynnego życia. Chory wygląd, który zauważyła w nim rano ustąpił pod wewnętrznem podnieceniem i nigdy jeszcze jego twarz nie wydawała się jej tak wyrazistą.

I on także patrzał na nią jakby nowemi oczami. Cały dzień wydawał się dziwnie badawczym, nieswoim, chwilami słabym, to znów silącym się na ożywienie. Obecnie chociaż podniecony, wyglądał jak człowiek, który powziął jakieś mocne postanowienie; i to także było jakby nową oznaką zdrowia.

Spojrzał na jej obnażone ramiona.

— Dla mnie!? — rzekł z uczuciem.

Lecz oczy jego zmieniły wyraz, kiedy spoczęły na jej twarzy.

— To trudno, musiałam dzisiaj, Nigel — rzekła zimno. Wiem, że muszę wyglądać strasznie po tej całej podróży. Proszę mi na dzisiaj wybaczyć.

— Naturalnie że tak. Bardzo ci jestem wdzięczny, że sobie zadałaś tyle trudu dla mnie, pomimo, że ja... Chodźmy! Obiad już podany.

Podał jej ramię i zaprowadził do jadalnego pokoju.

— A gdzie jest Ibrahim? — rzekła obojętnie, kiedy siedli przy stole.

— Prosił o pozwolenie odwiedzenia swej matki.

— Oh!

Uczuła ulgę. Ibrahim poszedł przygotować felukę. Ciepło ją przejęło. Za parę godzin... może prędzej... zobaczy Barondi'ego, będzie sama z Barondim. Tak długo czekała! Przez tak wiele przeszła udręczeń! Naraziła się na tyle niebezpieczeństw! W tej chwili wszystko to stanęło w myśli — dzisiaj będę z Barondim! — Upajała się tą myślą jak winem. Nie widziała nic po za nią. Nie pytała się, jak ją przyjmie. Wino to napawało ją beztroskliwością, uwalniało od obawy. Uczucie młodości... po raz ostatni może?... podniosło się w niej jak jasny płomień z popiołów. Pozwoliła mu ukazać się Niglowi.

I znowu powiedział:

— Dla mnie!

Powtarzał to sobie i w duchu powtarzał także te straszne słowa, rzucone w twarz człowiekowi, który mu uratował życie.

— Ty kłamco! Ty przeklęty kłamco!

Okazało się, że obiad nie był męczarnią, jakiej Mrs. Armine oczekiwała. Rozmawiała, śmiała się, była dowcipną, jak w dawno minionej przeszłości, kiedy czarowała mężczyzn tak umysłowemi, jak i fizycznemi powabami. A Nigel odpowiadał prawie z chłopięcym zapałem. Jej ożywienie, jej wesołość zdawały się go nietylko czarować, lecz coś w nim uspokajać.

Obiad się skończył i wstali, żeby przejść do salonu. I nagle pochwyciła ją niepohamowana chęć ucieczki. Była pewną, że feluka już czeka na nią na cichej wodzie pod cyplem. Gdyby tylko Nigel został na chwilę w jadalnym pokoju dla wypalenia papierosa, wyszłaby zobaczyć. Nie wsiadłaby jeszcze, naturalnie, dopókiby nie poszedł spokojnie na górę do swego pokoju, lecz pragnęła się upewnić, że wszystko gotowe.

— Czy nie wypalisz tutaj papierosa? — rzekła do postępującego za nią męża.

— Tutaj? sam? — rzekł ze zdziwieniem.

— Myślałam, że może zechcesz się napić jeszcze wina — rzekła z pozorną obojętnością.

— Nie. Idę na taras z tobą.

— Na chwilkę tylko. Teraz, kiedy niema doktora Isaacsona, powracam do roli pielęgniarki, gdyż inaczej znowu zachorujesz, a wiedz, wiem, że całą winę złoży na mnie.

— Skąd o tem wiesz?

Głos jego ją zastanowił. Zatrzymała się pod drzwiami.

— Skąd? doktór Isaacson nie wierzy, żebym była zdolną do czegoś dobrego.

— Lecz ja wierzę.

Znowu zauważyła niezwykły wyraz jego twarzy.

— Tak — rzekła — wiem. Ty jesteś zupełnie inny.

Otworzyła drzwi i przeszła do salonu. W tej chwili usłyszała nubijskich żeglarzy na Lonlii rozpoczynających swą serenadę. (Tak nazywała ten śpiew tego wieczoru). Wyrywała się do tej muzyki, chciała tam biedz natychmiast, bez chwili zwłoki. Z trudnością zmusiła się, żeby spokojnie przejść przez pokój. Nigel stanął przy niej.

— Oh! muszę wziąć narzutkę — rzekła.

— Przyniosę ją.

— Nie, nie. Nie powinieneś dużo chodzić. Zmęczysz się.

— Nie dzisiaj — rzekł i wyszedł.

Jak tylko drzwi się za nim zamknęły Mrs. Armine zeszła do ogrodu.

— Ibrahim! Ibrahim! czy jesteś tutaj?

— Tak, my lady.

— Nie mogłam jeszcze zejść. Ale przyjdę, jak tylko będę mogła najprędzej.

— Tak.

Spojrzał na nią i rzekł:

— Nie wiem, co na to powie Mahmud Barondi. Wziął z sobą dziewczynę na łódź.

— Na łódź!

— Na Lonlię.

— Ruby! Ruby! gdzie jesteś?

— Wracaj!... Czekaj na mnie... Czekaj!

— Ruby!

— Jestem tutaj! Idę, Nigel!

XXII.

Spotkała się z nim w ogrodzie opodal od tarasu. Miał na sobie palto i miękki kapelusz i niósł płaszcz dla niej.

— Nie powinnaś wychodzić wieczorem w wyciętej sukni — rzekł podając jej płaszcz.

Naciągnęła go.

— Ciepło bardzo dzisiaj.

— Zawsze to nieostrożność.

— Teraz ty się zajmujesz pielęgniarstwem.

Lecz cała wesołość znikła z jej głosu, całe ożywienie ją opuściło.

— Czy się trochę przejdziemy? — rzekł. — Może pójdziemy na brzeg rzeki?

— Nie, nie. Nie powinieneś się męczyć. Siądźmy, a wkrótce poślę cię do łóżka.

— Jeszcze nie zaraz.

— Jestem...

— Nie dlatego, że chciałbym posłuchać twojej muzyki. Zresztą ten hałas byłby jej przeszkadzał. Ale chciałbym z tobą pomówić.

Mimowolny grymas ukazał się na jej ustach, lecz prędko się odwróciła i nie zauważył go. Wrócili na taras pod oświecone okna.

— Siądź tutaj, Ruby... przy mnie.

Usiadła. Musiała stłumić w sobie szaloną chęć ruchu i siedzieć spokojnie.

Nigel siadł obok niej. Przez chwilę panowało milczenie.

— Oh! — rzekła prawie rozpaczliwie, ażeby je przerwać — nie piliśmy kawy po obiedzie. Czy chcesz, żebym ci ją jeszcze raz zgotowała?

Mówiła to, gdyż chciała się ruszać, chciała coś czynić. Czuła, że musi czemś się zająć, gdyż inaczej zacznie płakać, krzyczeć.

— Chcesz? — powtórzyła nawpół wstając.

Nigel utkwił w nią oczy.

— Nie, Ruby, nie dzisiaj.

Opuściła się na fotel.

— Myślałam, że lubisz kawę.

— Lubiłem i będę lubił znowu.

Dotknął jej ręki.

— Tylko nie dzisiaj.

— Jak chcesz.

— My... jest co innego na dzisiaj.

Nie spuszczał z niej oczu.

— Co innego! — rzekła. — Tak... spać. Musisz dobrze się wyspać tej nocy... i ja także.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

2)

— Nie przeczę. Jestem nawet przekonanym, że owoców tych usiłowań nie będę zbierał ani ja, ani nawet mój następca, wiem, że z tych, których imię dziś tak głośne, za kilka lat nie będzie żyć ani jeden, a za tymi, którzy zginęli, nie popłynie ani jedna łezka i niesława, lecz może hańba i gorzkie przekleństwo spocznie na ich prochach; ale przyjdzie czas, który na fundamentach przez nich założonych wzniesie ten olbrzymi budynek i wymierzy sprawiedliwość tym, którzy ofiarowali się szczęściu przyszłych pokoleń. Pięknie to zginąć dla ojczyzny, ale mordować dla ojczyzny, ale schodząc do grobu z przekleństwem tysięcy, umrzeć dla sprawy tych tysięcy i być wzgardzonym, wyklętym, to rzecz olbrzymia, posłannicza.

— Synu, jedyny mój synu! — krzyknął ojciec płacząc i złamany padł na piersi młodzieńca, szlochając gorzko. — Czy widzisz te łzy?

— Widzę, ojcze. Pierwszy raz w życiu widzę cię we łzach. Dusza moja ugina się pod ciężarem tych łez. Masz powód do płaczu nademną, bo nie przyniosę twej siwej głowie radości, sławy, a przecież pójdę. Idea silniejsza, niż żądza sławy, większa od miłości ojczyzny rozświeca mą duszę, a że ta wiara jest silną, niech to świadczy, że widząc łzy twoje — odchodzę.

— Idź — jęknął ojciec złamany. — Być może że zginiesz i nie zobaczę cię więcej, być może, że powracając, nie zastaniesz rodzinnego domu i nie znajdziesz mogiły, pod którą spoczywa twój ojciec. Wiedz, żem cię nie przeklinał ani w chwili mojej, ani twojej śmierci. Zostaw mię! — Odwrócił się, dając znak synowi, aby się oddalił.

W milczeniu wyszedł z komnaty, dozwalając płynąć łzom rzęsiście, płakał, kiedy tych łez nikt nie widział, ale kiedy przy pierwszym kroku zabrzękła szabla, na twarz młodzieńca wróciła dawna zimna rezygnacya, a miejsce łez zastąpił wyraz odwagi.

Pobiegł pożegnać się ze swym stryjem Józefem.

Ten siedział w gronie rodziny. Bliźnięta bawiły się u jego nóg na ziemi, on sam bawił się z niemowlęciem, przed którem kryła się matka i które głośnym śmiechem wybuchało, ile razy głowa matki ukazała się poza krzesłem ojca.

Brzęk szabli Emeryka przerwał zabawę rodziny. Bliźnięta pobiegły naprzeciw stryja, podziwiając jego szablę, gdy tymczasem niemowlę zaczęło płakać na widok zbliżającego się młodzieńca w uniformie, którego nie poznało.

— A cicho dziecko, cicho — uspokajała je matka, odbierając od ojca dziecko. Stryjcio idzie na wojnę i przyniesie ci złotego konika.

Józef ścisnął rękę młodzieńca i rzekł:

— Niech cię Bóg prowadzi; — a potem dodał cicho: „Najdzielniejszym jesteś w całej rodzinie. Dobrze zrobiłeś".

Potem ucałowano go po kolei i puszczono dalej wśród wesołej wrzawy.

Stąd udał się do babki. Po drodze spotkał się z drugim stryjem, z tym olbrzymem, który wyściskał go w milczeniu, a potem uciekł, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, ani jednego nie wydawszy głosu.

Staruszka siedziała w poręczowem krześle na kółkach, nie mogąc chodzić oddawna. Na brzęk szabli zapytała: kto p.zyszedł?

Mała, jasna dziewczynka, z rumieńcem na twarzy i gwałtownie bijącem sercem odrzekła:

— Emeryk.

Z jakim zapałem, z jakiem uczuciem wymówiła to imię!

Dziewica uczuła, że ten młodzieniec jest dla niej czemś więcej, jak dalekim krewnym i właśnie dlatego, że dalekim, to uczucie, które ją uczy marzyć, jest czemś więcej nad miłość braterską.

W pokoju oprócz nich znajdowała się wdowa w żałobie i ten siedzący kaleka ze znękaną twarzą.

— Po co ta szabla, Emeryku? — zapytała drżącym głosem staruszka. — Oj zły to świat, zły. Któż zdoła odwrócić od nas, co Pan Bóg wymierzył? Dziś we śnie rozmawiałam znowu z moimi umarłymi. Zdawało mi się, jakby przychodzili uzbrojeni i mnie wołali do siebie. Jestem przygotowaną, z pokorą oddaję Bogu ducha mego. Przeszłej nocy dwa razy widziałam wypisany ognistemi cyframi rok 1848. Kto wie, co to będzie. Niedobre to czasy, niedobre. Po co ta szabla, Emeryku? Wojna będzie... Rozmnożyli się ludzie bardzo, nie mogą się pomieścić...

Emeryk w milczeniu schylił głowę i pocałował rękę staruszki.

— A więc idziesz? Niech cię Bóg prowadzi, a mijając krzyż po drodze, nie zapomnij westchnąć do Pana życia i śmierci — rzekła siwa babka i kładąc ręce na głowę wnuka, szeptała: „Niech cię błogosławi Wszechmocny"...

— I mój mąż był taki młody, przystojny, kiedym go utraciła — westchnęła kobieta w żałobie, a ściskając młodzieńca rzekła: „Uważaj na siebie".

Mały kaleka zanosząc się od płaczu, objął kolana brata i błagał wymuszonym głosem, żeby się nie bawił długo, bo on się będzie bał w domu.

Na ostatku przyszła kolej pożegnać się z Jolantą.

Ze spuszczonemi w dół oczyma zbliżyła się ona do młodzieńca, który tak pięknym, dzielnym wydawał się jej w uniformie i białą rączką przypięła mu do piersi pięciokolorową kokardę: niebiesko-złotą i czerwono biało-zieloną.

— Rozumiem — rzekł z zapałem młodzieniec, przyciskając do serca lubą dziewicę. — To są barwy Siedmiogrodu połączone z barwami Węgier.

Dziewica pozwoliła się uścisnąć, a kiedy się rozwinęły obejmujące ją ramiona, rzekła z boleścią:

— Nie zapominaj o mnie.

— Żyć nie będę, kiedy cię zapomnę.

Pocałował dziewczynę w czoło, rzucił krewnym jedno: „Bądźcie zdrowi", wcisnął czerwone czako na głowę i znikł.

Brzęk szabli sprowadził go po schodach.

W małej izdebce na dole mieszkał stary krewny, zaglądnął do niego na pożegnanie. Poczciwy stary Szymon rzekł, dodając mu otuchy:

— No, synu, a zabijże tam dużo Turków.

— Nie będziemy się bić z Turkami — odpowiedział z uśmiechem młodzieniec.

— No to Francuzów — poprawiał starzec zeszłego stulecia.

W bramie czekał na niego koniuszy z dwoma osiodłanymi końmi.

— Nie potrzebuję cię. Możesz zostać w domu — rzekł do niego Emeryk. Ujął jednego konia za uzdę, wskoczył na niego, zsunął pod brodę przepaskę od czaka, a dawszy ostrogi rumakowi, popędził.

Kiedy dojechał do krzyża, zapomniał wprawdzie o napomnieniu babki, ale przyszła mu na myśl ta mała blondynka. Obejrzał się. W jednem oknie powiewała biała chusteczka.

— To ty tam jesteś, moja pociecho, ty spoglądasz za mną — szepnął młodzieniec i rzucił w powietrze dwa całusy, pędząc na dół stromymi zakrętami.

* * *

Szczególne to były czasy.

Naraz poczęły się wyludniać wioski, poukrywali się ludzie, a nikt nie wiedział gdzie, pozamykano prawie wszystkie domy, wieczorem nie było słychać głosu dzwonów, ani śpiewu wracających z roboty dziewcząt i tylko psy wałęsały się po ulicach, zarastających trawą.

Emeryk Bardy nie spotkał ani żywej duszy, pędząc w dolinie ulicą małej wioski. Nie wznosił się dym z kominów i nie błyszczał ogień przez szyby chatek. Któż wie, gdzie podziała się ludność!

Już się zaczęło ściemniać. Lekka przezroczysta mgła rozpostarła się nad doliną. Emeryk chciał przed świtem stanąć w Klausenburgu i jechał dalej nocą.

Około północy ukazał się za górami księżyc, rozlewając srebrzystą swą barwę po żółknących liściach; młodzieniec jechał dalej między górami i skałami.

Cicho było wszędzie, tylko monotonny tentent kopyt końskich odbijał się o skalistą drogę. Młoty hut i kuźni milczały wszędzie.

Emeryk zadumany siedział w siodle, kiedy naraz zatrzymało się w biegu rozumne zwierzę i strzygąc uszyma, poczęło się cofać.

— No. no — ozwał się młodzieniec — jeszcze niema tu ognia działowego, a już się boisz.

Koń szedł dalej, ale ciągle bojaźliwie łeb obracał i rżał niespokojnie.

W jednem miejscu droga prowadziła między dwoma skałami, które wydawały się, jak dwie rozpęknięte połowy. Przed tą wąską drożyną ciągnie się przepaść, nad którą z licho ociosanych belek rzucono mostek.

Kiedy dojechał jeździec do mostu, koń wspiął się i obrócił z nim, nie chcąc pomimo ostróg wstąpić na most, ale stanął przed nim, kopiąc ziemię nogami.

Jeździec uniesiony ścisnął przelęknione zwierzę i uderzył mocno po szyi, poczem jednym skokiem przerzucił się rumak przez dwusążniowy most i tam znowu się obróciwszy, począł się cofać.

W tej chwili, kiedy koń most przeskoczył, odezwał się przeraźliwy wrzask z rowu pod mostem, a na to rozległo się ze szczytu skały echo, lub może odpowiedź jaka; z pod mostu ukazało się naraz dziesięć do piętnastu brudnych postaci z wyprostowanymi w ręku kosami.

W tej samej chwili ukazał się tłum zbrojnych w rozpadlinie, przez którą prowadziła droga.

Jeszcze miał czas cofnąć się i przebić przez mniej liczną bandę w tyle, ale wstydził się pierwszą bitwę rozpoczynać odwrotem, a może gardził tą hołotą, lub koniecznie chciał być w Klausenburgu na oznaczoną godzinę; zamiast więc cofnąć się popędził naprzód, skąd walił się tłum uzbrojony w kosy i cepy.

-- Z drogi! — krzyknął z blizka Emeryk na hołotę, z której dwóch uczepiło się jego konia, a reszta rzuciła się na niego z kosami.

Rozległo się dwa strzały; Emeryk puścił wolno konia wśród kos niezgrabnie wywijanych w powietrzu, zabłysła jego stalowa szabla, sypiąc iskry i rozdzielając razy na wszystkie strony, a upatrzywszy stosowną chwilę, kiedy napastnicy poczęli się przed nim cofać, wyskoczył z tłumu i popędził ku rozpadlinie skały.

Nie spostrzegł, że na szczycie stoją ludzie z ogromnymi kamieniami, którzy go zamordują, skoro tylko bezbronny w przesmyk się dostanie.

Już tylko kilka sążni oddzielało go od rozpadliny, skąd żywym nie byłby wyszedł, kiedy nagle ze skały skoczył olbrzymi mężczyzna i chwycił tak silnie konia za cugle, ze ten stanął dęba.

Na głowie olbrzyma siedział rzymski hełm miedziany, w lewej ręce trzymał dwie stopy długi, szeroki miecz.

Młodzieniec ciął napastnika w głowę, hełm do połowy przecięty upadł na ziemię, a z nim razem złamana szabla, gdy tymczasem na dwóch nogach stojący koń stracił równowagę i rzucił o skałę jeźdźca, który zemdlał w skutek upadku i został na ziemi.

W tej chwili padł strzał ze skały, wymierzony na młodzieńca.

— Kto strzelił? zagrzmiał głos olbrzyma.

Krwiożercza tłuszcza wołoska*) z dzikim wrzaskiem rzuciła się na bezbronną ofiarę, która bezwładnie leżała w pyle.

Silniej nad ten wrzask śmiertelny grzmiał głos olbrzyma.

— Kto strzelił na mnie?

Wołosi jak wryci stanęli około niego.

— Ja nie na ciebie strzeliłem trybunie, ale na huzara — wyjąkał jeden z nich, którego bystry wzrok olbrzyma przykuł do miejsca.

— Kłamiesz zdrajco, kula twoja uderzyła o mój pancerz i gdyby nie koszula stalowa leżałbym już trupem. — Ciebie nieprzyjaciel podpłacił, abyś mnie zabił.

Odpowiedź obwinionemu zamarła na ustach.

— Powiesić go, to zdrajca!

Tłum rzucił się wściekle na obwinionego, a uniósłszy go w powietrze przywiódł go blisko stojącego drzewa; krzyk był dowodem, że się odbywa egzekucya.

*) Po wybuchu powstania węgierskiego w r. 1848. ludność innoplemienna jakoto: Kroaci, Serbowie, Słowacy i Rumuni czyli Wołosi działali wspólnie przeciwko Węgrom. Partykularne te powstania podsycane ze strony rządu stały pod przewodnictwem mężów, jak np kroackie pod Jellacicem słowackie pod Hurbanem proboszczem z górnych Węgier, a Rumuni pod Abrahamem Ianku rządowym kancelistą. Ci ostatni wywodząc się od Rzymian osiadłych po zwycięzeniu Daków, przybierali w tem powstaniu tytuły rzymskie. Bohater powieści zwie się też „trybunem". Dodać jeszcze winienem, że Rumuni w tej walce niesłychanych dopuszczali się okrucieństw; dnia 19 maja zrabowali i spalili kwitnące miasto górskie Abrudbánya w Siedmiogrodzie, a mieszkańców Węgrów w pień wycięli. (Przyp. tłómacza).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Zdarzeniem dnia było w ubiegłym tygodniu w Krakowie spadnięcie pierwszego śniegu, o czem dowiedzieliśmy się z *Kuryera*, który wyraźnie zaznaczył, że widziało go zaledwie kilkanaście osób, wracających wczesnym rankiem pod dach rodzinny po pracowicie spędzonej nocy. Ogół mieszkańców musiał wierzyć „na słowo“, że tak było, a nie inaczej, gdy bowiem Krakowianie, nie lubiący obecnie wcześnie wstawać, zjawili się na ulicach, już go nie było, ale nie z tego powodu, jakoby Zakład czyszczenia miasta tak się prędko z nim uwinął, lecz z racyi, iż było go tak mało, że mogli go widzieć tylko wtajemniczeni. Mamy zresztą dopiero październik, na opady śniegowe dosyć więc jeszcze czasu, z powodu braku węgli i ich drożyzny byłoby nawet wskazanem, aby się bez nich zupełnie obeszło.

U nas spadł śnieg, na Węgrzech kilka dni przedtem wylądował pod Szoproniem samolot, którym przybył exkról Karol wraz z swą małżonką, by się upomnieć o koronę św. Szczepana, o którą, zdaje się, więcej chodzi jej, niż jemu.

Poprzednia jego wyprawa w tym samym celu w czasie świąt Wielkanocnych zrobiła, jak wiadomo, zupełne fiasco, pani Zyta, nie dowierzając swemu małżonkowi, wybrała się zatem z nim razem, lecz i jej interwencya na nic się nie zdała. Tak, jak krakowski śnieg zniknął bardzo rychło z widowni, i państwo Karolowie królowali na Węgrzech bardzo krótko. Jego Królewska Mość miał natyle czasu, iż zamianował swój gabinet, który jednak już na drugi dzień znalazł się w „ulu“, a para królewska rozpoczęła rekolekcye w klasztorze Benedyktynów nad jeziorem Błotnem, gdzie czeka na decyzyę, w którą stronę udać się jej wypadnie. Gościnna Anglia zaprasza ją do przeniesienia się do którejś z jej zamorskich posiadłości, do czego jednak państwo Karolowie bardzo się nie kwapią, przypominając sobie z historyi, jak serdecznie podejmowali Anglicy cesarza Napoleona na wyspie św. Heleny.

Swoją drogą Karolowi należy się pewna kara, ale nie za to, iż upomina się o oddanie mu tego, co mu się bądź co bądź słusznie należy, gdyż jest królem węgierskim, lecz z powodu, że daje się zbytnio powodować, czyli mówiąc popularnie „wodzić za nos“, swej lepszej połowie, będącej w danym wypadku raczej gorszą, namawia go bowiem do złego, a on, posłuszny, robi, co żona każe, choć nie on jej, ale ona jemu posłuszeństwo ślubowała.

Wyprawa Karola na Węgry mogła mieć dla Europy bardzo fatalne następstwa i wywrócić do góry nogami cały porządek społeczny, i tak wiele do życzenia zostawiający. Czecho Słowacya i Jugosławia zabierały się już nawet do wojny z Węgrami, spodziewając się, że przy ogniu, na którym przygotowuje się gulasz węgierski, uda się może usmażyć i własną pieczeń. Pozatem król Karol na tronie węgierskim jest dla nich powodem ogromnego strachu, gdyż tak jedni, jak i drudzy, nie wierzą w trwałość swego państwa, zlepionego przez Koalicyę w sposób sztuczny, bez uwzględnienia żądań ludów, które się dostały pod obce, dla siebie nie sympatyczne, panowanie. Na to także liczył Karol, przedsiębiorąc wyprawę na Węgry, ale jak się pokazuje, przerachował się i to w sposób bardzo brzydki. Mimo to nie stracił jeszcze nadziei, że co się dotąd nie udawało, wreszcie raz się może powiedzie, choćby tylko ze względu na przysłowie, iż „do trzeciego razu sztuka“. W rozmowie z jednym z dziennikarzy, jaką miał bezpośrednio przed wyjazdem ze Szwajcaryi, oświadczył, że nie wątpi w swój powrót na Węgry i to pod opieką Ligi Narodów, gdy lud węgierski wypowie swoje zdanie. Ostatnie wydarzenia wskazywałyby jednak na to, że zbyt optymistycznie ocenia sytuacyę, naród węgierski bowiem, choć monarchistycznie usposobiony, radby mieć raz już spokój i decyduje się na obecny porządek rzeczy, widząc jasno, że wewnętrzne zatargi to tylko woda na młyn sąsiadów, niezbyt życzliwie dla nich usposobionych i czekających tylko sposobności, by, występując rzekomo w obronie zagrożonej równowagi politycznej Europy środkowej, uszczknąć cośkolwiek i dla siebie. Czesi nie przestali śnić o korytarzu przez Węgry, mającym ich połączyć z Jugosławią i gotowi każdej chwili pospieszyć na wezwanie, wszystko jedno im, czyje, byle się tylko raz tam już usadowić, wiadomo zaś, że gdzie Czech raz wlezie, nie łatwo go potem stamtąd wyprawić.

Bez większego wrażenia przeszła zatem niefortunna Karolkowa peregrynacya na Węgry, oryginalna o tyle, że odbył ją drogą powietrzną, spodziewając się, iż Węgrzy, ujrzawszy go między sobą, powiedzą z radością: „Spadł nam jak z nieba!...“ Tak się nie stało. Większość była zdania, że „spadł“ zupełnie niepotrzebnie i nie na czasie, czyli, że był zupełnie tak tam potrzebny, jak zeszłotygodniowy śnieg w Krakowie.

Nas wewnętrzne sprawy węgierskie zbytnio nie obchodzą, życzymy jednak Węgrom, jako narodowi, związanemu z nami wielu wspólnemi niciami, aby im się działo jak najlepiej i dlatego radzimy im, aby baczną na to zwrócili uwagę, by przypadkiem nie dostali króla w spódnicy, gdzie bowiem baba rządzi, tam nie można się spodziewać nic dobrego. Gdyby zaś Karol dorwał się w samej rzeczy tronu, byłby tylko malowanym królem, ster zaś rządów ujęłaby w swe energiczne rączki pani Karolowa, która już nieraz dała światu do poznania, że małżonka swego uważa za poczciwego safandułę, dającego sobą kierować i bynajmniej nie narzekającego na to. Ale jak ongi Adam, dzięki Ewie, utracił dzierżawę raju, tak i Karol, dzięki Zycie, gotów się pozbyć raz na zawsze korony węgierskiej. A na to się zanosi, gdyż Koalicya żąda detronizacyi Habsburgów, a on podobno, jak donoszą ostatnie telegramy, przyjął już podyktowane mu przez rząd węgierski na życzenie sprzymierzonych warunki.

Dla polityków nauka z tego, aby nie dawali się powodować zbytnio kaprysom niewiast, choćby to były ich rodzone żony, które jak doświadczenie uczy, coraz energiczniej zabierają się do spraw ogólnych, zaniedbując tem samem domowe. A weszło to jakoś w modę, że podczas podróży politycznych towarzyszą teraz magnifiki swym małżonkom. Pani Paderewska nie opuszczała swego męża w podobnych wyprawach, rumuński premier, Take Jonescu podróżował po Europie z swą lepszą połową i z nią gościł w Warszawie, Weronika chciała koniecznie towarzyszyć kronikarzowi, gdy tenże wybierał się do Rygi. W myśl przysłowia „gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła“, byłaby czasem nawet i pożądaną tu i ówdzie obecność niewiast i ich osobista interwencya, lepiej jednak, niechaj nie zabierają się do spraw, do których nie są stworzone.

Ważniejszą dla nas od Karolkowej wyprawy po złote runo jest sprawa wileńszczyzny, mającej lada dzień wejść na porządek dzienny obrad Ligi Narodów, oraz byłej Galicyi wschodniej. Pierwsza z nich skończy się dla nas prawdopodobnie pomyślnie i Wilno zostanie przy Polsce, gdyż dyplomaci koalicyjni, nauczeni doświadczeniem Chardygny'ego nie będą się chcieli chyba narazić na to, aby wileńskie kobiety wyraziły wobec nich swą wolę w ten sposób, jak przekonywały tamtego, iż gotowe są polskości Wilna bronić do upadłego. Trudniejsze będzie rozwiązanie kwestyi tak zwanej zachodnio-ukraińskiej, nie wiemy bowiem na pewne, z jakiego podręcznika czerpał swe wiadomości historyczne i geograficzne o tym kraju Lloyd George, który, jak to zresztą zawsze czyni, będzie się starał zachować dla siebie ostatnie słowo. Dyskusya nad tą sprawą jest właściwie zbyteczną, załatwił ją bowiem definitywnie traktat zawarty w Rydze między obu interesowanemi stronami, to jest Polską i tym krajem, który słusznie może sobie rościć prawa do właściwej Ukrainy. I Lloyd George, gdyby chciał być konsekwentnym powinien siedzieć cicho i nie wtrącać swych trzech groszy, by przypadkiem ktoś nie pobił go jego własną bronią. Wszak nikt inny, tylko on, uznawał jako jeden z momentów, stwierdzających niemieckość Górnego Śląska, zasiedzenie się tam Niemców od lat kilkuset. Jeśliby więc Lloyd George był zdania, że była Galicya wschodnia jest ukraińską, należałoby mu zaraz przypomnieć, odkąd to Polacy żyją i pracują dla zachodnio europejskiej kultury na tym obszarze, od lat pięciuset wchodzącym w skład ziem polskich. Pan Petruszewycz jest wprawdzie innego zdania, ale z politykami tego pokroju, co on, nie liczą się poważnie nawet sami Ukraińcy, oczywiście nie galicyjscy, wyhodowani sztucznie w austryacko-niemieckiej cieplarni. Rusini z nad Dniepru bardzo dwuznacznie uśmiechają się na samą wzmiankę o „Ukraińcach z nad Pełtwi“ i bynajmniej nie życzą sobie ich współpracy przy przewracaniu do góry nogami porządku społecznego, bo oni tylko to potrafią.

W jednej z poprzednich kronik zaznaczyliśmy już, że niektórym z naszych sprzymierzeńców zależy na tem, by Polska miała swą „piętę Achillesową“ i że dlatego sprawie ukraińskiej nie pozwolą zejść z porządku dziennego, owszem rozdmuchują ją coraz bardziej i to w myśl starych praktyk Wiednia i Berlina. Małopolscy Rusini wiedzą o tem dobrze i dlatego z dnia na dzień rośnie coraz bardziej ich buta i wzmaga się apetyt.

Według opinii koalicyjnej wschodnia część byłej Galicyi, zostaje jedynie pod militarną okupacyą Polski aż do ostatecznego rozstrzygnięcia o jej losach i to właśnie jest powodem, że wschodnio-galicyjscy Rusini nie tracą nadziei, że uda się im utworzyć samoistne państwo. Aspiracye ich popiera silnie Anglia, z „małej Koalicyi“ Czechy, które w ten sposób spodziewają się uzyskać korytarz, łączący ich z Rosyą sowiecką.

W niektórych sferach naszych polityków wyłonił się projekt rozwiązania w ten sposób sprawy wschodniej Małopolski, by nadać jej pełną autonomię, pozostawiając ją o tyle pod zwierzchnictwem Polski, iż posiadałaby ona tam swego przedstawiciela w osobie podsekretarza stanu. Byłoby to zatem wyodrębnienie najzupełniejsze tej części kraju i wydanie jej na pastwę zachodnio ukraińskim politykom, pozostającym stale w ścisłym kontakcie z Wiedniem i Berlinem.

Przeciw podobnemu rozstrzygnięciu, które równałoby się dobrowolnemu zaprzepaszczeniu naszych praw do tej ziemi protestuje też z całą energią tamtejsze polskie społeczeństwo, dając wyraz swej woli w licznych wiecach, na których wyraźnie oświadcza się za ściślem zespoleniem z resztą Polski, co już zostało zapoczątkowane przez wprowadzenie tamże ustroju wojewódzkiego, którego Rusini oczywiście nie uznają i energicznie go zwalczają. Zamach Fedaka pozostawał z tem w przyczynowym związku, mając stanowić dowód protestu przeciw polskim zarządzeniem administracyjnym, zdaniem Ukraińców bezprawnym. Tajne organizacye ukraińskie, teraz dopiero wychodzące na jaw, świadczą o duchu panującym wśród galicyjskich ukrainofilów. Nasze władze dotąd o nich albo nie wiedziały, albo też sobie lekceważyły i trzeba było dopiero wystąpienia Fedaka, by otworzyć im oczy na grożące nam z tej strony niebezpieczeństwo, o którem wiedzieli wszyscy, tylko nie ci, którzy na nie zwrócić powinni byli już dawno swą uwagę i zdusić je w zarodku.

Lwów przeciwko wyodrębnieniu wschodniej Małopolski oświadczył się kategorycznie, przysięgając uroczyście bronić do ostatniej kropli krwi jej polskości, a tego rodzaju objawu woli lada lekceważyć nam nie wolno.

Ukraińcy, nauczeni dotychczasową naszą prawdziwie baranią cierpliwością, podnoszą też coraz jawniej głowę, ogłaszając, że w obronie swych praw chwycą się terroru, który przecież stosują ustawicznie wobec polskiej ludności. Zachęca ich do tego bezkarność, z jaką się dotąd zawsze spotykali, nie tracą zatem nadziei, że w dalszym ciągu będzie tak samo. Zapominają jednak o tem, że co innego czasy byłych rządów austryackich, a co innego obecne, kiedy mamy pełne prawo upomnienia się jawnie o to, co się nam słusznie należy, bez potrzeby oglądania się na Wiedeń, jak to było wówczas. Ofiarą ich terroru padło wówczas życie namiestnika Potockiego, a choć to był przedstawiciel i zastępca wiedeńskiego rządu, ten sam Wiedeń dopomógł Siczyńskiemu do swobodnego wyjazdu za granicę.

Jeśli zachodni Ukraińcy sądzą, że coś podobnego powtórzy się i obecnie, grubo się mylą, gdyż polskie społeczeństwo musi się raz zdecydować na stanowczy krok, stojąc w obronie swych praw, gwałconych dotąd bezkarnie przez tych, którzy ustawicznie krzyczą wobec świata, że my ich krzywdzimy.

Mimowoli przypomina się owa stara bajka o chłopie, który w ogrodzie swym znalazł zimową porą zmarzniętego węża i litując się nad jego losem, zaniósł go do izby, umieścił na przypiecku i póty nań chuchał i dmuchał, póki go do życia znów nie przyprowadził. Niewdzięczny gad, przyszedłszy do siebie, wyprężył się i chciał się rzucić na swego dobrodzieja, co chłopa doprowadziło do takiej wściekłości, iż pochwycił, jak powiada poeta, „dubasa“ i zadał nim cios śmiertelny zdradliwej bestyi.

Wyhodowaliśmy sobie węża, on godzi obecnie na nas, w własnej obronie musimy chwytać się nawet ostatecznych środków, polityka ustępstw w dalszym ciągu do celu nas nie doprowadzi i stać się może dla nas powodem katastrofy.

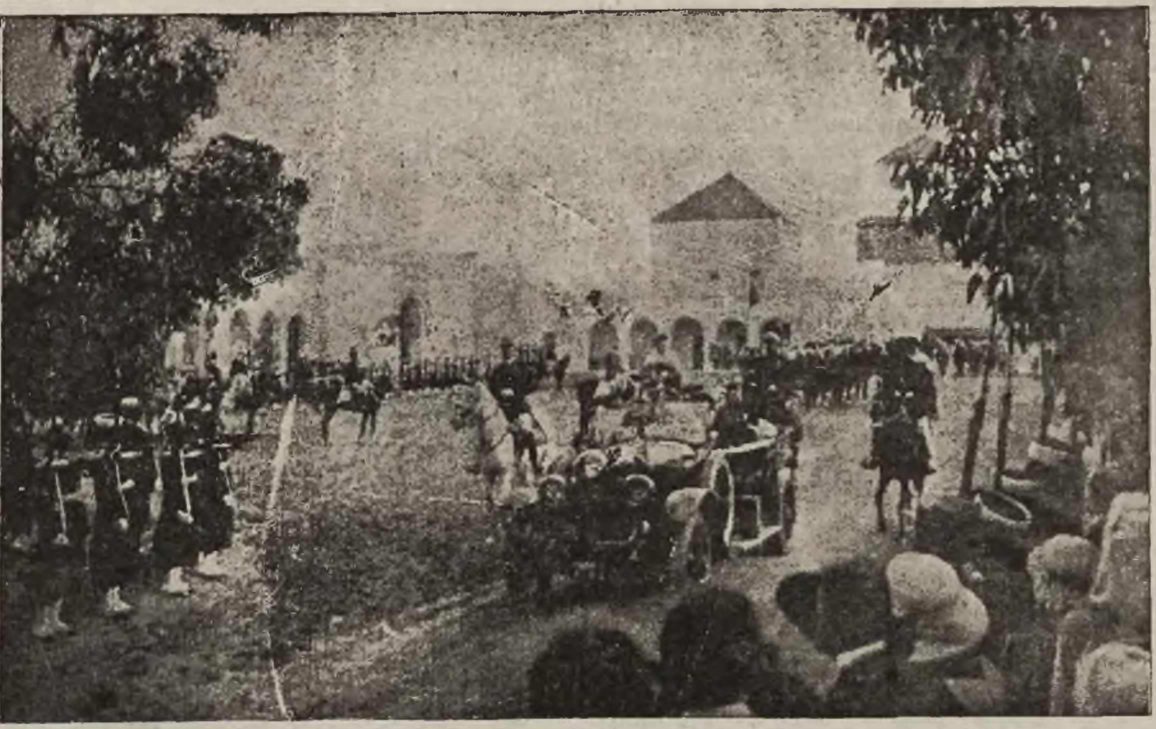


tedrze. Następnie udali się uczestnicy do auli uniwersytetu na uroczyste otwarcie. Zjazd otworzył prezes Kongregacyi Kupców we Lwowie pięknem przemówieniem, w którem podał także historyę Kongregacyi Kupieckiej we Lwowie, jednej z najstarszych w Polsce. Następnie oddał przewodnictwo obrad p. Hersemu, prezesowi Stow. kupców w Warszawie. Przewodniczący w pięknej przemowie wspomniał o chlubnej przeszłości Lwowa i obywatelskiem stanowisku jego kupiectwa i oddał cześć obrońcom Lwowa. Mówiąc o obecnem położeniu państwa, zaznaczył mówca, że nie wolno nam dopuścić do upadku gospodarczego przez spadek waluty i że wskazaniami naszemi w dążeniu do poprawy stosunków powinno być poszanowanie własności, organizacya pracy, rozwój inicyatywy prywatnej, oszczędność, składanie daniny państwu i podporządkowanie egoizmu klasowego interesom kraju. Pod znakiem pracy mowca otworzył obrady.

Obrano następnie na wiceprezesów Zjazdu dra Niecia z Krakowa i p. Edwarda Mazurkiewicza z Poznania, oraz powołano do prezydyum sześciu delegatów różnych miast Polski.

Poczem zabrał głos p. Neuman, prezydent m. Lwowa, który wyraził nadzieję, że Zjazd przyczyni się do wzmocnienia handlu polskiego i do postawienia kupiectwa na tym poziomie, by spełnić mogło swe istotne, szczytne zadanie.

Delegat Francyi p. Vicaire wyraził radość z po



Król sportsman Para królewska belgijska opuszcza pałac sułtana marokkańskiego.



Półwiekowy jubileusz częstochowskiej Ochotniczej Straży Ogniowej: Przemowa prezydenta miasta Częstochowy dra Marczewskiego podczas uroczystości jubileuszowej.
Aj. fot. Maryan Fuks Warszawa.

wodu swej obecności na pierwszych Targach Wschodnich we Lwowie, którym wróżył powodzenie i zapoczątkowanie handlu ze Wschodem oraz skreślił ich znaczenie w stosunkach międzynarodowych, wreszcie zaznaczył przyjazny stosunek Polski i Francyi we wszystkich dziedzinach życia, życząc by ta łączność utrwaliła się i w życiu ekonomicznem obu państw.

Były minister dr. Hącia podniósł ciężkie stosunki walutowe państwa polskiego i wezwał kupiectwo do pracy nad podniesieniem wartości marki polskiej. Następnie przemawiali: poseł Meisner z Poznania imieniem Związku lud. nar. oraz delegaci kupiectwa rozmaitych miast; prez. Mazurkiewicz imieniem Związku Towarzystw kupieckich Wielkopolski, pan Niedbalski z Inowrocławia, red. Winiarski imieniem prezydenta miasta Bydgoszczy, wiceprez. Izby handl. we Lwowie dr. Winiarz, wiceprez. dyrekcyi poczty Łaski, poseł Wróblewski, p. Miśkiewicz z Wilna, który wspomniał o organizacyi Targów wileńskich.

Po zwiedzeniu wspólnem „Targów Wschodnich“ rozpoczęły się właściwe obrady Zjazdu, które trwały i przez cały dzień następny. Wygłoszono cały szereg referatów, podnoszących znaczenie działalności polskiego kupiectwa na polu naszego odrodzenia ekonomicznego. Zjazd zakończył się rautem w salonach lwowskiego Ratusza.

Wrażenia swe ze Zjazdu lwowskiego skreślił przewodniczący Związku Pomorskiego Kupców w Grudziądzu, p. T. Marchlewski, który oświadcza, że Zjazd ten był owiany szczerą troską o położenie i przyszłość gospodarczą kraju. W przemówieniach całego szeregu mowców, jak np. p. Bogusława Hersego, dra Hąci, prezydenta miasta Lwowa p. Neumana, p. Mazurkiewicza, p. Kauczyńskiego i innych górowała myśl przyjścia z pomocą naszemu państwu, do czego całe kupiectwo polskie chętnie ręce przykłada i ofiar nie poskąpi, jeżeli za cenę tych ofiar zdołamy uzdrowić nasze stosunki.

Dobór znakomity referatów, oraz ogromna powaga, jaka cechowała cały Zjazd, sprawiły, że te miłe, serdeczne obrady kupiectwa z całej Rzeczypospolitej polskiej pozostawią niezatarte, nader dodatnie wspomnienie wśród uczestników, którzy rozeszli się pokrzepieni myślą, iż przy wspólnej i wytrwałej pracy da Bóg, doczekamy się lepszych czasów.

Uczczenie pamięci francuskiego narodowego poety.

Paweł Déroulède, wybitny poeta i gorący patryota, zapisał się głęboko w sercu każdego Francuza, jako ten, którego jedynym celem życia było nawoływanie współziomków do odwetu na odwiecznym wrogu i od brania mu wydartej przemocą Francyi, a tak drogiej jej sercu dzielnic, Alzacyi i Lotaryngii. Że to kiedyś nastąpi, przepowiedział, owiany proroczym duchem, wierząc stale w zwycięstwo słuszności nad bezprawiem i przemocą.

Pamięć natchnionego piewcy odwetu i tryumfu Francyi uczczono w dniu 16. października b. r. odsłonięciem w Metzu jego pomnika.

Dzień ten obchodziła też cała Francya jako święto narodowe, jako wspomnienie zwycięstwa, przepowiedzianego natchnionemi usty poety. U stóp jego pomnika zebrały się tysiączne tłumy, a szereg



Półwiekowy jubileusz częstochowskiej Ochotniczej Straży Ogniowej: Grupa pań częstochowskich, które podięły się obsługiwania gościa podczas bankietu jubileuszowego. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

mowców podkreślił zasługi Déroulède'a krzepiącego w najcięższych czasach żywem słowem obumierające już w zwątpieniu serca rodaków.

Nazajutrz po zawieszeniu broni między Koalicyą a Niemcami, gdy jasnem już było, że te ostatnie poniosły sromotną porażkę, pozbył się Metz widomych znaków swej niewoli, których nie żałowała mu ręka najeźdźcy, chcącego miastu nadać charakter wybitnie prusko niemiecki. Spadły z piedestałów pomniki Wilhelma, Fryderyka III. i Fryderyka Karola. Postument pomnika Fryderyka III., wznoszący się na jednej z najgłówniejszych ulic tego miasta, dziś „ulicy marszałka Focha", użyty został jako podstawa pomnika, którym naród francuski pragnął uczcić pamięć i zasługi Déroulède'a. W miejsce konnej statuy Fryderyka stanęła postać wielkiego poety, dłuta artysty rzeźbiarza Dubois, wykonana tak po mistrzowsku, iż zda się, że lada chwila przemówi tym samym głosem, którym tyle lat nawoływał braci do czynu. U stóp jego apoteoza zwycięstwa, francuski żołnierz otrębuje tryumf swego narodu, podając równocześnie wielkiemu poecie palmę, jak gdyby powtarzał jego słowa z „pieśni żołnierza":

„L'air est pur, la route est large,
Le clairon sonne la charge"...

Nie ulega wątpliwości, że niema Francuza, który w godzinach pogromu Niemców, zawieszenia broni i powrotu sztandarów narodowych, nie miał na myśli słów Déroulède'a. Po latach czterdziestu trzech stał się on jeszcze bliższym sercu każdego Francuza, niż wówczas, gdy nawoływał do walki i odwetu, a wyrazem tego było przemówienie ministra Barthou, który oświadczył, że czuje się szczęśliwym, iż może mówić o roli narodowej Déroulède'a i przytoczyć jego prorocze słowa, znane dobrze każdemu Francuzowi. Podczas tego i następnych przemówień wzbiło się nad miastem pięć lotniczych eskadr bojowych, dodając uroczystości odsłonięcia pomnika niezwykłego uroku. Miasto przybrane było wspaniale, a na twarzach mieszkańców widoczna panowała radość, iż danem im było doczekać chwili, o której marzył wielki poeta, iż pokonany wróg legnie u stóp zwycięskiej Francyi.

Półwiekowy jubileusz częstochowskiej Ochotniczej Straży Ogniowej

Częstochowska Ochotnicza Straż Ogniowa obchodziła w ubiegłym tygodniu pięćdziesięciolecie swego



Małżeństwo amerykańskiego miliardera z rosyjską wielką księżniczką: „Król cynowy", William Leeds z żoną w. ks. Ksenią.

istnienienia i swej działalności dla dobra i bezpieczeństwa ogółu.

Gdy przed pół wiekiem inicjatywa szlachetnie myślących ludzi powoływała ją do życia, inna zupełnie atmosfera polityczna panowała na tym kawałku polskiej ziemi. W sercach i umysłach odbijało się jeszcze bardzo żywo wspomnienie niedawnych wysiłków o zdobycie wolności, a rząd rosyjski gnębił i prześladował każdą próbę organizowania się, choćby nawet w tak niewinnym celu, jak ochrona przed pożarem, upatrując ukryte gdzieś na dnie polityczne cele. I bardzo się nie mylił. Niejeden z członków Ochotniczej Straży Ogniowej przywdziewał strażacki rynsztunek w tej myśli, że nadejdzie czas, gdy będzie miał sposobność zmienić go na inny. O czem śnili i marzyli ojcowie, tego doczekały ich dzieci.

W ciągu swego półwiekowego istnienia miała częstochowska Straż Ochotnicza do zwalczenia niejedną trudność, tak natury politycznej, jak i technicznej, z tych wszystkich prób, naprawdę „ogniowych", wyszła przecież cało i dziś może z dumą spoglądać poza siebie, na cały szereg lat spędzonych na usługach ludzkości. Potrzebę jej założenia zrozumie każdy, kto zna miejscowe stosunki. Częstochowa i jej okolica z roku na rok stawały się coraz bardziej ożywionym ośrodkiem przemysłowym, zakłady fabryczne mnożyły się, niebezpieczeństwo pożaru stawało się coraz groźniejszem. Trzeba było pomyśleć o samoobronie, to było celem i zadaniem Ochotniczej Straży Ogniowej i przyznać trzeba, że wywiązała się z niego ku swej chlubie i zasługując sobie na ogólne uznanie.

W uroczystości pięćdziesięcioletniego istnienia, obchodzonej w zupełnie zmienionych warunkach, niż te, jakie panowały przy jej założeniu, wziął też udział ogół ludności miejscowej i okolicznej, aby w ten sposób wyrazić swą wdzięczność tym, którzy tak ofiarnie spieszyli im z pomocą w razie katastrofy pożarowej, a także z okazyi innych klęsk żywiołowych. Pięćdziesięcioletni jubileusz swej Ochotniczej Straży Ogniowej obchodziła całem sercem tak Częstochowa, jak i bliższa jej okolica, korzystająca nieraz z jej pomocy.

Na program uroczystości złożyło się nabożeństwo dziękczynne na Jasnej Górze, pochód ulicami miasta, zebranie na podwórzu koszar, gdzie ogłoszono szereg okolicznościowych przemówień oraz wspólny bankiet.

Z okazyi tego ostatniego zaznaczyć należy, że grono pań częstochowskich, dowiedziawszy się, iż kelnerzy zażądali sto pięćdziesiąt tysięcy marek za obsłużenie gości, podjęło się bezinteresownie spełnienia tej funkcyi, by bodaj w ten sposób wyrazić swe uznanie dzielnym strażakom.



Półwiekowy jubileusz częstochowskiej Ochotniczej Straży Ogniowej Grupa uczestników uroczystości jubileuszowej z prezesem J. Konem i komendantem p. Brithlem na czele. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Król sportsman.

Król belgijski, Albert, jest szczególniejszym zwolennikiem żeglugi napowietrznej, a upodobania te podziela i jego małżonka, królowa Elżbieta. Widzimy to z licznych podróży, odbywanych drogą powietrzną. Królestwo belgijscy byli jednymi z pierwszych, którzy odbyli drogę między Belgią a Anglią w samolocie, obecnie przedsięwzięli daleko ryzykowniejszą podróż, gdyż z Francyi ponad morze Śródziemne do Afryki, stamtąd zaś drogą na Hiszpanię do Paryża i Brukseli.

W dniu 8 października b. r. ukazały się w okolicy Fezu dwa samoloty, które wylądowały obok miasta. Oba ozdobione były flagami o barwach państwowych belgijskich i francuskich. W pierwszym z nich przybyła królowa Elżbieta, w następnym król Albert. Para królewska odbywała podróż *incognito* we Fezie zaś bawiła jako goście francuskiego rezydenta marszałka Lyautey. Po przechadzce w ogrodach Oudaia odwiedził król Albert sułtana, poczem tenże rewizytował króla.

Stąd udano się do Casablanca, gdzie marszałkowstwo Lyautey podejmowali królewskich gości i towarzyszyli im przy zwiedzaniu portu, zakładów wojskowych i liceum.

W dniu 13. października b. r. król Albert zajął miejsce w aeroplanie, prowadzonym przez pilota Dombraya i rozpoczął podróż powrotną na Tanger, Alicante i Barcelonę, dokąd przybył bez wypadku dnia 14. października przed piątą popołudniu. Stąd nazajutrz rano ruszył do Paryża również drogą powietrzną. Królowa Elżbieta wyjechała z Afryki na jachcie, aby przez Hiszpanię powrócić do ojczyzny.

W Paryżu złożył król Albert wizytę prezydentowi Republiki, Millerandowi, gdzie w Pałacu Elizejskim przyjmowany był z honorami wojskowymi. Zabawił tutaj dłuższy czas, omawiając szczegóły swej interesującej podróży, niezawodnie także i sprawy polityczne, dotyczące obu państw. Po śniadaniu wydanem przez prezydenta udał się król Albert na pole wzlotów Bourget, gdzie oczekiwał na niego aparat, ozdobiony jego inicyałami i koroną królewską. Aparat kierowany przez awiatora Stampe wylądował w dwie godziny później w aerodromie brukselskim d'Evere, skąd, po zabawieniu tutaj pewnego czasu, powrócił do swej rezydencyi.

Małżeństwo amerykańskiego miliardera z rosyjską wielką księżniczką.

Amerykańska plutokracya łączy się bardzo chętnie związkami rodzinnymi z arystokracyą rodową starego świata, aby zaspokoić swe ambicye i otworzyć sobie drzwi salonów, zamkniętych nawet dla sypiących złotem dorobkiewiczów. Ci amerykańscy kandydaci do stanu małżeńskiego poszukiwani są zwłaszcza przez zubożałe europejskie magnackie rodziny, zrywające z dawną tradycyą, byle przy pomocy dolara wrócić do swej dawnej świetności. Są to zatem rzadziej małżeństwa z miłości, częściej zaś dla konwenansu. Tak Europa, jak i Ameryka przyzwyczaiły się już do nich, nie budzą też w obecnych czasach takiego zainteresowania, jak dawniej, gdy należały do wydarzeń dnia na obu półkulach. Rodowa arystokracya europejska demokratyzuje się widocznie, amerykańscy miliarderzy okazują natomiast aspiracye arystokratyczne.

Ostatnie małżeństwo amerykańskiego miliardera Williama Leeds poruszyło jednak żywiej opinię publiczną, już choćby tylko z tego względu, że wybranką jego serca była rosyjska wielka księżniczka Ksenia, córka zamordowanego w Petersburgu w r. 1919 wielkiego księcia Jerzego Michajłowicza. Ale i pan młody nie jest zwykłym dorobkiewiczem. Matka jego, po śmierci swego pierwszego męża, „króla cynowego", wyszła za mąż za księcia Krzysztofa, brata króla greckiego Konstantyna i miliardami, wniesionymi w posagu, dodała blasku dworowi greckiemu.

Małżeństwo młodej pary, zawarte w Paryżu w dniu 9 października b. r., stanowiło dla stolicy Francyi, w szczególności zaś dla tamtejszych sfer arystokratycznych, niemałą senzacyę. Jest to naprawdę młoda para, pan młody nie przekroczył bowiem jeszcze dwudziestki, oblubienica liczy siedmnaście lat życia. Jak powiadają, wchodzi tu w grę prawdziwa miłość, a nie interes. Nowożeńców związano bardzo ściśle węzłem małżeńskim, przeszli bowiem potrójną ceremonię zaślubin: w merostwie, kościele anglikańskim i cerkwi prawosławnej.

Dla zaspokojenia ciekawości naszych Czytelniczek pozwolimy sobie powtórzyć za pismami paryskiemi opis strojów, w jakich wielka księżniczka ukazała się oczom Paryżanek w tym dla siebie tak ważnym dniu.

Oto przy ślubie cywilnym miała na sobie sukienkę z brzoskwiniowej crêpe georgette z capem w tym samym kolorze, brunatny toczek z zamszu ze zwisającem strusiem piórem i sznurek pereł. Do ślubu kościelnego sukienka z białego ninon z krótkimi rękawkami, tren z aksamitu brokatowego i tiulowy welon, obramowany koronkami Alencon. Na głowie wianek z kwiatu pomarańczowego, w ręku pęk lilii, a na szyi łańcuch z brylantów.

Między podarkami ślubnymi były upominki od panującej pary angielskiej, od wszystkich prawie książąt greckich i od króla rumuńskiego.

Afera jenerała Bułak-Bałachowicza.

Koncunacya i ustępliwość naszych sfer rządowych wobec niejednokrotnie zbyt daleko idących uroszczeń Sowdepii odbija bardzo dziwnie od stanowiska, jakie rząd moskiewski zajmuje stale tak wobec naszego przedstawicielstwa, jak i obywateli polskich, znajdujących się na jego terytoryum.

Solą w oku dla czerwonych carów był pobyt w granicach Polski różnych osobistości, uważanych za niebezpieczne dla idei bolszewickiej. W granicach Polski przebywali, korzystając z prawa azylu, wybitni działacze rosyjscy, pracujący nad uwolnieniem swej ojczyzny od tyranii obecnych dyktatorów. Reprezentant rządu bolszewickiego w Warszawie, Karachan, zażądał zatem od naszych władz wydalenia z granic Polski kilkunastu osobistości, nie będących obywatelami naszego kraju. Między niemi znaleźli się także jenerał Bułak-Bałachowicz, Sawinkow Petlura itd. Imieniem rządu polskiego zgodził się na to wiceminister spraw zagranicznych, Dąbski, i postarał o wydanie potrzebnych w tym kierunku zarządzeń.

Odpowiedzią na to był list jenerała Bułak-Bałachowicza do Sejmu warszawskiego, wykazujący zasługi, jakie położył dla Polski w czasie zeszłorocznej ofenzywy bolszewickiej, prześladowania, których ofiarą padła jego rodzina, częściowo przez bolszewików wymordowana, powołujący się na jego polskie obywatelstwo, a kończący oświadczeniem, że granic Polski nie opuści, chyba, gdyby go do tego zmuszono przemocą.

List ten wywarł należyty skutek. Warszawskim politykom przedłużyły się oblicza i zrzedły miny, decyzja p. Dąbskiego, o ile to dotyczy osoby jenerała Bułak-Bałachowicza, naraziła rząd warszawski na ośmieszenie wobec swoich i zagranicy. Zaczęto trąbić do odwrotu, odpowiedzialność zaś całą złożono na p. Dąbskiego, który powinien był o tem wiedzieć, że jenerał Bułak-Bałachowicz jest obywatelem Polski i jako taki ma pełne prawo pobytu w jej granicach. Minister Skirmunt starał się wprawdzie wytłómaczyć zbyt daleko posuniętą uprzejmość p. Dąbskiego koniecznością utrzymania z sowiecką Rosyą przyjaznych stosunków, nie pomógł jednak swemu koledze i zastępcy, który, jak donoszą z Warszawy, podaje się do dymisyi, natomiast skazany na wygnanie Bułak-Bałachowicz zostaje w Polsce.



Afera jenerała Bułak-Bałachowicza: Jenerał Bułak-Bałachowicz, którego wydalenia z granic Polski żądał poseł sowiecki Karachan.

Barbarzyństwo bolszewickich zbirów.

W miarę, jak napływa do nas powrotna fala jeńców i uchodźców wojennych, którzy spędzili dłuższy czas w głębi Rosyi, dochodzą też naszych uszu wiadomości pewniejsze o stosunkach, jakie panują w państwie czerwonych carów.

Gdy mniejwięcej przed rokiem czytaliśmy, że rząd sowiecki rekwirując na Ukrainie złoto, zagroził, iż, kto dobrowolnie nie odda pierścionków, kolczyków i t. d. temu odbierze się je, ale wraz z palcami i uszami, wielu uważało to za przesadę, mającą na celu zdyskredytowanie w oczach Europy „pionierów ruchu wolnościowego", mających światu zapewnić swobodę i uwolnić go od wszechwładztwa kapitalizmu. Pokazuje się jednak, że nie były to czcze pogróżki, gdyż jak stwierdzają fakty, funkcyonaryusze rządu sowieckiego na bezbronnej i wydanej na ich łup ludności dopuszczają się okrucieństw wobec których niczem są najstraszniejsze tortury średniowiecza. Podawaliśmy już w naszem piśmie illustracye, malujące całą ohydę bolszewickiego piekła i działalność osławionych „czerezwyczajek", dziś podajemy nowy szczegół. Rycina nasza przedstawia piwnicę pod lokalem czerezwyczajki w jednem z większych miast rosyjskich, gdzie dokonywano „operacyi" ściągania żywcem skóry z rąk nieprawomyślnych, którzy mieli to nieszczęście dostać się w szpony panów komisarzy ludowych.

Poprostu wierzyć się nie chce, że coś podobnego wydarzyć się może w dwudziestem stuleciu i że sprawcami są ci, którzy występują jako apostołowie wolności, równości i braterstwa ludów.



Barbarzyństwo bolszewickich zbirów: Podziemia sowieckiej czerezwyczajki, w których więźniom ściągano żywcem skórę z rąk. Aj fot. Maryan Fus, Warszawy.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. Kaczkowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda wydarzenie polityczne z dni ostatnich.

■
– ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– ■ –
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Członek najbliższej rodziny, 3. Imię męskie, 4. Rodzaj gleby, 5. Pamiętnikarz polski, 6. Utwór geometryczny, 7. Część budynku, 8. Miasto na Litwie, 9. Szczyt w Tatrach, 10. Kraj w Europie, 11. Narzędzie rolnicze, 12. Owad, 13. Samogłoska.

Zgłoskówka.

Ułożył L. B., Lwów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich imię i nazwisko operetkowej figury, pragnącej za każdą cenę odegrać wybitną rolę polityczną.

Powaga, Sylwan, wyka, Koszyce, Warszawa, tony.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył P. Malinowski, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry na dół utworzą nazwisko osobistości, o której w ostatnich czasach wiele się mówiło i pisało.

— il
— ąb
— bo
— as
— ko
— ąs
— ak
— ęs
— wo

Zgłoskówka.

Ułożył W. Grabski, Warszawa.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę, a dowiemy się do czego zmierzają głównie plany ministra Michalskiego:

Posada, wynalazek, racya, agat, Zofia, Nansen, Sasów.

Kwadrat magiczny.

Ułożyła M. Kubicówna, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym:

a a a a
c f i i
m m m o
o s s s

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Dunaju, 2. Duchowny muzułmański, 3. Starogrecka poetka, 4. Prorok żydowski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) O. Konstanty Żukiewicz: „Cudowny Obraz Matki Boskiej Różańcowej w kościele krakowskich OO Dominikanów". Studyum historyczne; 2) A. Gruszecki „Pod czerwonym Wirchem" (powieść).

Rozwiązanie zagadek z Nru 40

Grzebieniówka: Kongo, r, Urban, s, zając, w, indyk, c, Ateny.

Szarada. Jesień.

Zadanie do uzupełnienia: Wola, yard, Zola, woda, Omar, Lena, Ezop, noga, Idzi Epir.

Okienko. Piotr, Ophir, Ruryk.

Zgłoskówka. Karpiński.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: H. Wagner Warszawa, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań. S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewski Jasło. M. Grajower, Rzeszów, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol, K. Wilczyński Stanisławów, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, O. Niedzlałkowska Kraków, K. Młodzianowski Łomża, W. Trybalski Wiśnicz, Michał Motylewski Kutno, K. Zieliński Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) H. Wagner Warszawa powieść); 2) K. Zieliński Kraków (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 15 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.